

ORĘDOWNIK

N A U K O W Y.

Spis rzeczy 5go Numeru: „Wieczór w Czarnym-Lesie, Obrazek p. Kraszewskiego. O zasadach wychowania po szkołach wyższych przez H. C. Ciąg dalszy. Krytyka literatury Michała W. iszniewskiego. Nowiny literackie: Biblioteka Warszawska“.

WIECZÓR W CZARNYM-LESIE.

Obrazek.

(Przez **H. I. Kraszewskiego.**)

(*Do k o ń c z e n i e.*)

Ale już pod lipą i miejsca dla gości brakło, gospodarz prosił do domu; popierał wniosek pan Petryllo, który poczuwszy podwikę, zirkął ku domowi raz wraz; był za tem i pan Mikosza, bo próżno wyglądając, czy nie niosą dzbaną, przewidywał, że pan Wojski nie na suchą zabawę do domu zaprasza; — większość jednak obstawała, aby zostać pod lipą, gdzie swobodniej cugle było można puścić rozmowie; bo jej nie hamowała przytomność kobiet. Wszczęła się tedy rozmowa płocha, wesola, swobodna, urywana, żywa, której najmniej słuchał i najmniej pomagał gospodarz. Jego ten najazd niespodziany w chwili, gdy najmocniej spokojności pragnął, pomieślał; zwolna dopiero oswoiwszy się z położeniem,

przychodzić zaczął do swego humoru i wesomości, gdy goście ze sobą gwarzyli.

Prawda to, że nigdy jedna bieda nie przychodzi sama, zawsze wiedzie z sobą orszak towarzyszek, jak wielka jaka pani. Nim się słońce za drzewa ukryło, przybyli jeszcze goście do Czarnego-Lasu. Pan Chmura, pokorny szlachcic, który z siebie wszystkim drwić dawał, byleby się najadł i napił, bo doma było czasem i chleba skapo i żonę miał złą, czarownicę. Znać było z postawy człowieka. Szara na nim oponcza, przy której lepiej się ubiory wytworne wydawały, milcząca; pokorna; czarny but na nodze, szabelka gdzieś w fałdach ukryta, ledwie jej koniec wystawał; plecy od ukłonów zgięte, zgarbione, głowa łysa, oczy brwiami i powiekami zakryte, usta zaciśnięte, milczące. Taki był pan Chmura, z którego niekiedy nawet słudzy żarty stroić dozwalałi sobie, a on się już ostrzeżony obruszał; powiadając, że słowa nie kasają ani bijają. Przybył także pan Konrad, niejaki pielgrzym, podobny pierwszemu, od misy do misy, milczący, na oko zadumany; lecz

w istocie niczem nie zajęty, tylko naladowaniem brzucha, którego był częścią najwydatniejszą jego całości. Po przywitaniu, zwykle słowa od niego nikt nie usłyszał — siadał i czekał, żeby jeść dali; zjadłszy, trawił; strawiwszy, jadł znowu. Przybył jeszcze i przyjaciel pana Wojskiego, doktor Montanus, krotochwilny, lecz uczony człowiek; trzeźwy, wstrzemięźliwy, małomowny, a wiele myślący.

Gdy gwar go objął, gdy rozmowa w serce uderzyła, zastukała do duszy, zaczęła miłość własną, rozśmieszyła, rozruszała; poeta rozjaśnił czoło, rozweselił się, uśmiechać się począł gadłom, zapraszać do dzbana, — pogodził się z przeznaczeniem. Możnaż było inaczej? Żona jego smutniejsze zachowała oblicze, ona wiedziała, na czem się kończą biesiady, i jak się płaci drogo chwilę takiego odurzenia, po której długo w domu ślady zostają.

Zastawiono wkrótce wieczerzą. Nie było tam wytworu, nie było mis złocistych, roztruchanów ciężkich, tuwalni szytych perłami, obrusów bogatych — po prostu wszystko, po szlachhecku. W jednej misie polewaną kurzyła się kasza ze słoniną; w drugiej kluski z sérem; była pieczeń jedna i druga, a do niej ogórki kwaszone. Stały dzbany z piwem i miodem, flasze z winem. Jeli sobie zaraz podochacać goście, przepijając jeden do drugiego pełnemi. Jeden tylko doktor Montanus uciekał zaraz, gdy pierwszego kufła dotknęto; wyprosiwszy sobie łóżko w kącie komory, spać się położył. Nas tymczasem pili żwawo; gdyż Bartosz i Mikosza zachęcali wszelkimi sposobami, wnosząc różne przezdrowie. Pan Wojski też, jak na gospodarza przystało, ujrzawszy ochotę gości, zachęcał, aby pili. Gdy już tuman otoczył biesiadników, gdy w głowach ich zaszmeralo, zakurzyło się z czupryny, zaczęło palić w piersiach i bić myślami do góry, trzeba było widzieć wówczas ich wszystkich i słyszeć rozmowę.

— Hej! panowie bracia, krzyknął Wojtek, poszły panie od stołu, zaśpiewajcie pieśń jaka

waszą, panie gospodarzu nasz miły, o dzbanie, powitamy go, i podziękuję, że nas rozweselił. „Dzbanie mój pisany.“ —

— Dajcie pokój pieśni, bo wam w gardle chrypie, jak wóz nienasmarowany, odpowiedział pan Wojski, — powiedzcie lepiej co wesołego, bo nie każdy rad pieśni słucha; a i kobiety nasze śpią blisko, nie przystało je pieśnią budzić.

— O! wiem ci ja wiem ciekawości, rzekł Wojtaszek, nie dając się prosić do powtarzania gadek, co je lubił sam bardzo.

— Gadajcież, gadajcie, przerwał Mikosza, rad słucham, kiedy piję, byleby mi samemu odpowiadać nie trzeba było, bo w gębie zasycha prędko.

— Znacie braci Winiarskich w Podgórze?

— Ja ich znam, bom tam gościł nie mało, rzekł Bartosz, lat temu kilka — Dobry człowiek młodszy, zwał go Aniołem.

— A precz go tak zwał? spytał z cicha Mikosza, susząc kufel.

— Pani matka to pono, tak go w dzieciństwie nazwała, aż mu się to, co nie rzadko i na późniejsze lata zostało. Był bowiem piękny, jak owi aniołowie malowani.

Nie wiecie jeszcze jak się zwie brat starszy, rzekł Wojtek, a to wam powiem. Odmarli ich rodzice, zostawując im wieś Gorzejowo, owoż bracia poczęli pożywać się o nią, bo był starszy służył wojskowo i po cudzych dworach, a anił wioskę posiadał i dzierżał, i puszczając go do niej nie chciał. Nadszedł starszy i do prawa z nim o wieś poszedł, rzekłszy: Poczekał panie aniele, ujrzysz, że cię diabeł z Gorzejowa wyżenie, i jak rzekł, tak uczynił, bo na nim prawo przewiódł, a odtąd go wszyscy diabłem zwał, i kto wie, czy to nie zeldzie na potomki.

Rozśmieli się tam i sam biesiadnicy, a jeden przerwał:

— Nie to zwać się Diabłem, wolałbym za się, niż Kiszka.

— Wiecież zkąd to poszło? rzekł Wojtek, podchwytyjąc. — Dawne to dzieje.

— Ba i nie tak, bo sta lat temu nie ma. Był niejaki Zgierski na dworze hetmana litewskiego, Jana Białego. Ten za się hetman, lubił bardzo litewską potrawę kiszki, a nie zwał je inaczej, jeno kuropatwy.

— Toż czemu? zapytał pan Petryllo. —

— Taką miał fantazją! odpowiedział Wojtek. Toż i domownicy nie inaczej potrawę pańską nazywali, jeno tak. Trafiło się, że on Zgierski, zapytany od pana, co na stół podano, odpowiedział nieopatrznie, zwać rzecz po imieniu. W śmiech z niego dworzanie i jeli go ztąd nazywać Kiszka. Bolalo go to, chociaż się im zaraz jako mógł odcinał, a mianowicie, że był umysłu hardego i wysoko patrzył, bo córkę jedynaczkę, a dziedziczkę bardzo bogatą tego hetmana był kochał i w sekrecie się oboje w sobie miłowali. Na dobre mu jednak wyszło to przezwisko, bo hetman nagradzając żart, który był sam pierwszy z niego uczynił, zowiąc go Kiszka, córkę mu dał po wojnie, w której się on Zgierski nie mało wślawił. A tak odtąd po Litwie, Kiszkiowie sławni i wielkie imiona mają.

— Ba, i przedtem, co WMśc mówisz, rzekł Kochanowski, bywali już Kiszkiowie, boć to czysta bajeczka, a familia Kiszków dobrze od Białego starsza, jak w kronikach baczyć.

— Gdzie wszakże i ta bajeczka się najdzie, odrzekł Wojtek.

— Nie przeczę! odpowiedział gospodarz i umilkł.

I pili znowu, gwarząc, pan Petryllo tylko smutnie im placu dotrzymywał; koczyło go i swędziło pójść do kobiet cholewki smalić, ale go jak na złość utrzymano, aż się one w komnatę do spoczynku zabrały. Tymczasem dzbany za dzbanami gonily, z piwnicy na stół, u stołu do gardła biesiadników, przeciągała się ochota, chociaż i misy dawno ze stołu zebrano i obrusy zdjęto. Siedzieli jedni na ławach, drudzy na ziemi, ci stali, owi chodzili, a wszystko w kolo dzbanów, z których rozpoczynawszy, nie usta-

wali suszyć do dna. Wesola pogadanka coraz bujniejsza a śmielsza w miarę kufłów wypitych, rosła i szumiała głośno.

— Przewdrowie pana Wojskiego, ochotnego gospodarza, wniósł Bartosz, narodziwszy się z Mikoszą, w ręce pana Slasy.

Slasa powstał z ławy, potrząsł nosem, pełną przepitą przyjął, a zaśmiał się przed i po kufłu; poszła kolej dalej, nikt jej nie opuścił.

— Niema tylko Chmury i nie pił naszego zdrowia — rzekł Wojtek.

— Gdzie Chmura? spytał gospodarz czeladzi.

Nikt o nim nie wiedział.

— Zwyczajnie Chmura, rzekł jeden podpity, powędrował dalej z deszczem.

Wtem drzwi skrzypnęły, ktoś wchodził — był to właśnie pan Chmura, ale w dziwnym stroju, bo cały obłocony, mokry, kapiący.

— Cóż to Waszeci, spytał gospodarz, czyś doprawdy chmurą został, że taki jesteś mokry?

— Wielmożni panowie a bracia, odpowiedział szlachcic — okropny wypadek!

— Co? jak? mów! zawołali wszyscy.

— Wyszedłem się orzeźwić świeżem powietrzem — przechadzałem się po podwórku tam i sam, zaśzedłem jakoś mimo kuchni.

— Zalecał cię może zapach pieczeni?

— Nie! nie! Nic mnie nie zalecało, ale ja zalecałem.

— Dokąd?

— W jakąś przekłętą dziurę, jangę i przepaść; pełną wody — i oto, co się zemną zrobiło. Moja ostatnia opończa na nic. To mówiąc, ocierał się biedny i kiwał głową.

— Włóżże go do fraszek, panie Wojski, rzekł Bartosz.

— Niechybnie — odpowiedział Kochanowski, uśmiechając się.

— A kiedy mnie, to i panów wszystkich, przerwał Chmura, spluwając, choć nie wszyscy cale mokrzy jak ja, ale każdy ma swoją mokrą stronę.

Śmiech powszechny dał się słyszeć; wryza-
wa powstała.

— Bardzo dobrze! wybornie, wołał Jost,
— wszyscy do fraszek, bez wyjątku.

— A WMśc pierwszy — rzekł Jan:
— miejże się do taszki,

Bo i ciebie, mój Joście, włożę między fraszki.

Oklaskami pokryto żarcik poety, a Jost się
zaczerwienił i sam poklaskiwał, a ścisnął pana
Wojskiego serdecznie.

— Będzie to tak wszystkim nam, rzekł ci-
cho pan Mateusz (ów, co to go na koniu le-
dwo było widać, tylko się kołpak migał i wą-
sy) do pana Slasy, moim wąsom, a Waszeci-
nemu nosowi pewnie się dostanie.

— I mojej lysinie nie minię, rzekł Bartosz.

— Ho! ho! toć to i pan Bartosz wiersze
składa, podchwycił Wojtek. Vivat! poeta nowy,
fraszka stary Rej i młodszy pan Wojski.

— Mógłbym ja wiele fraszek napisać, — od-
parł Bartosz, bom do nich, jeżdżąc, wiele wzor-
ków nazbierał, ale się nie mieszam w nieswoje.

— Dobrze, że się podpisać umiem ma n u p r o-
p r i a, będzie na szlachcica dosyć.

— Przedzrowie gospodarskie! krzyknął po-
wtóre Mikosza pijany, powstając, — a ledwie się
mogąc utrzymać na nieposłusznych nogach.

— Dajcież mi pokój, rzekł gospodarz, bo
dla mojego zdrowia, wy swoje potracicie, piliście
już moje.

— Nie wszyscy! nie wszyscy! zawołał Mi-
kosza, szepliniąc.

— Wszyscy piliśmy — któż nie pił? ozwa-
ły się głośy.

— A — a doktor Montanus?

— Gdzież on jest?

— Dawno spać poszedł, żeby się nie upić
— ostrożny.

— To się nie godzi, rzekł Bartosz — po-
gardza nami, czy co? ucieka od nas, he? albo
to krzywda kufel z nami wychylić, czy to już
śmierć na dnie siedzi. Dumny pan położył się
spać, bo mu szlachta śmierdzi, radby zawsze

tylko macać Jasnie Oświeconych i Przewie-
lebnych!

— Wyplazować go! krzyknął pan Mateusz,
dać mu naukę! — Sprawić mu łaźnię, zawołali
inni. — Co to? dla czego się będzie od nas
usuwał? Co lepszego ten Niemiec! — Ten Hi-
szpan, — Ten Włoch! — Ten heretyk jeden!
— Ten bajbardzo! — Chodźmy do niego! —
— Gdzie on? — gdzie? — Dajcież mu WM.
pokój, rzekł Jan — śpi dawno! Jutro sprawę
wytoczym.

— Jak śmie spać? zawołał p. Slasa, śmie-
jąc się sam pierwszy z tego, co miał powie-
dzieć; — jak śmie spać, kiedy my pijemy?
A toć han tatarski dopiero po swoim obiedzie,
pozwala królom i mocarzom jeść, to i my tyle
mamy prawa jak on, niedozwolić spać, aż się
sami wprzód przepim? Gdzie ten kusy Nie-
mieć? — Poszukajmy go po łąkach! Za nim!
za nim! puścić psy, niech go tropią, łącno im
będzie, bo śmierdzi lekarstwem jak kozioł.

— Powstali wszyscy, runęły ławy, stolki,
stół jęczał; dzbany zabrzękły.

— Hej, hej! za nim — gdzie się schował!
będzie polowanie! — Tu, tu! krzyknął Wojtek
— prowadząc. — Stój Wasze — zatrzymał
go gospodarz, — tu kobiety śpią. — Pan
Petryllo wstrzymał go także — Tu się hurmem
nie idzie, rzekł z uśmiechem, po jednemu szczę-
śliwemu, juvante amore.

— Patrzcie go no z amorem! tego starego...
Jakom żyw, jeszcze mu podwika pachnie, choć
już zęby w gębie tańczą i polowa ich wyska-
kała precz. — Co! co! jak ty mię nazywasz!
co ty mi zębami przymawiasz, młokosie, goło-
wasie! — I porwali się oba za szable.

Zapomniano na chwilę o doktorze, zwada
się wszczęła u proga komnaty. — Co ty mi
przycinasz zębami? — Czego odemnie chcesz
stary grzybie zakochany? — A nu, spróbuj
się zemną.

— Tylko nie po pijanu, rzekł, hamując ich
gospodarz, a nie w moim domu. Dom to musis

poświęcony, szanujcie go proszę, a rozejmcie się, nie chcę rano wzywać cyrulika z Zalatwy, aby ugode czynił po biesiadzie; ani księdza, któryby jak Jędrzejowi Zelisławskiemu śpiewał — wieczny odpoczynek, po wesolém przedzrowie. Kiedy chcecie zabawy, pódźmy spociec Montana, co się położył trzeźwy, niech wstanie pijany.

— Do doktora! do doktora! chodźmy! Idźmy! gdzie on? Wszyscy się potoczyli, śmiejąc, dźwigając dzbany, przychylając, swarząc. Wywiódł ich gospodarz do małego alkierza, gdzie spokojny Montanus zasypiał, otuliwszy się w kącie. Zbudził się, posłyszawszy wrzaski doktor i usiadł na łóżku. — Cóżto? rzekł po łacinie, czy który z was kona, że mnie budzicie? potrzebny już wam jestem? he! — Nie — rzekł Bartosz, występując naprzód — inny interes do Waszeci. Godzi się to gardzić nami, jak ostatnimi ciury i pójść spać legnąć sobie, gdy my ochotę mamy? Alboż to nie zniewaga? he? słuchaj ty heretyku, albo się bij zemną, albo pij przedzrowie pana Wojskiego! — A juściż wolę wino niż guza, rzekł Montanus wesolo, widząc, że się pijanym nie wykręci, — podajcie mi czaszę.

Tu dopiero zaczęła się pijatyka na nowo, która trwała do dnia białego u łóżka doktora w małym alkierzu, szaleńsza jeszcze, głośniejsza, weselsza niż wprzody; dopóki goście po jednemu nie popadali, jak potrute muchy. Słudzy ich i czeladź domowa nadeszła wówczas, pobrano ich po jednemu i wyniesiono ich do wielkiej izby, gdzie siana nasłano i pokotem ich na niem pokładziono na wołkokach i kilinkach. Naza jutrz trwały jeszcze ostatnie biesiady, myślał, że się skończą do wieczora gospodarz, ale przeszła pijatyka na dzień trzeci, goście się tylko zmieniali, przybyli nowi, wrócili pierwsi i znowu tak dni kilka uszło. Często Kochanowski powtarzał sobie: — Było mi słuchać księdza Padniewskiego! — ale już było po czasie.

W tydzień potem dopiero siedząc sam jeden

pod lipą poeta, wszystkich swoich biesiadników włożył do fraszek, — pana Słase, Chmurę, Mikoszę, Bartosza, Wojtka, Petryllę, Josta i t. d. Na końcu dodał:

Jeden Pan Wielmożny niedawno powiedział,
W Polsce szlachcie, jakby téż na karczmie siedział;
Bo kto jeno przyjedzie, to z każdym pić musi,
A żona pościel zwiólczać, nieboga się krztusi.

Grodek, dnia 26. Lipca 1840.

O zasadach wychowania po szkołach wyższych.

(Ciąg dalszy.)

Podobną kolej przeszły wszystkie inne wiadomości, które zebrało było doświadczenie, podciągnęli je pod rubryki i kategorye filozofowie już greccy, przedewszystkimi Arystoteles, a które się rozszerzyły i wypełniły w miarę postępu wieków, rozległości poznanego świata, i w miarę spostrzeżeń licznych i bystrych badaczy. I tu filologia pierwszy dała popęd, a wszystkie narody w właściwych sobie zawodach, około uprawy wiadomości i życia pracowały z mozołem i wyteżeniem. Te tylko, które obskurantyzm na silnej przytrzymał wodzy, i niedozwalając śmiałego wybryku w sfery rozumu, wstecz cofnąć wolał i przykuć łańcuchem do nieruchomej opoki; mało co się przyłożyły do pracy spólnej, a omdlały z nieczynności, albo leżą niemocą ruszone do dziś dnia, albo już padły ofiarą ciemnoty.

Po zwalczeniu więc języków, czyli formy, postąpiono do treści w niej się mieszczącej. Znalezione tam dzieje, prawa, pomysły o Bogu i naturze, Poezya i t. d. Wszystko to przeszło w żywotne siły narodów; a ruchomość owczesna tychże, począwszy od wieku XV., i żywe udzielanie się nawzajem, wywołane wojnami religijnymi i socyalnemi, licznymi wynalazkami, jak druku naprzykład, przyspieszyły obieg

wszystkich pomysłów. Roztwiera się odtąd widok jasny i głęboki we wszystkie kryjowki myśli i przyrodzenia, otwiera się pole obszerne, uprawne i żyzne. A jak gospodarz zrazu tyle tylko starania łoży około roli swój i całego gospodarstwa, by siebie z familią i czeladką wyżywił; zwolna dopiero, po zaspokojeniu potrzeb nieodzownych, przystępuje do ulepszenia tegoż gospodarstwa, nawet bez względu na korzyści gotowe, dla rzeczy samej; tak i w zawodzie nauk i umiejętności, co najprzód potrzeba wywołała, to potem siłą własną rosło na ciełe i duszy, t. j. w materyał i myśli, aż się dorobiło zaszczytu Umiejętności.

Uważano kiedyś stanowisko słońca, aby wymierzyć i oznaczyć dnia dobę, roku pory i t. p., pamiętano zmiany księżyca, czyli miesiąca, dla rozkładu miesięcy, przyzwyczajono oko do pewnych gwiazd stałych i ruchomych, by bezpiecznie po morzu żeglować. Spostrzeżenia te ustalono, rozszerzono, i przez wieków postęp nagromadzono Wiadomości astronomicznych. Wiek XV. i XVI. i tu olbrzymie poczynił kroki, lubo i tu rozum astronomiczny walczyć musiał z podaniem pisma, że ziemia stoi, a słońce się obraca. Za dni naszych dopiero wiadomości te nabyły systemu, składu pewnego i koniecznego, bo badacze téj nauki, włąli w nią harmonię, i z ruchu ciał niebieskich wydobyli i złożyli muzykę według akkordów, któremi Aniołowie Stwórcy Panu przygrywają. Przez harmonię tę i muzykę, rozumiem harmonię i skład światów podług myśli Boskich, a Wiedza o tymże światów składzie, ich porządku, ruchu i własnościach, staje się Umiejętnością Astronomii. Jest zaś Umiejętnością dla tego, że nie mieści w sobie pojedynczych, przypadkowych Wiadomości, ale ma Organizm swój własny, rzeczywisty na obraz Myśli Boga. Jakkolwiek wiele jej podobno jeszcze do charakteru tego i godności nie dostaje, przecież główne jej zakresło już rysy. **O p i s Z i e m i** i naszej podobną ma historją.

Homer, Herodot i wielu innych pisarzy starożytnych i nowszych, historyków przedewszystkiem, mieścili w dziełach swoich opisy okolic, ich przyrodzenie, charaktery mieszkańców, oznaczali granice naturalne i polityczne, miasta i wsie, góry i rzeki, aby czytelnikom podania swoje uczynić zrozumialszemi. Wnet odłączono te opisy i uwagi od rzeczy obcej, a pomnożywszy je i uzupełniwszy podług możliwości i odkryć czasowych, złożono zbiór Wiadomości Geograficznych, które w miarę postępu oświaty i w miarę odkryć poczynionych na kuli ziemskiej powiększały się i doskonaliły codziennie. Geniusz ludzki wieku XV. i XVI. na rozmiar nie tylko głębokości, ale także obszerności przestwór sobie czynił: bo jak dociekania jego rozumowe w głąb szły, tak równie ciekawie wybierał na przegląd powierzchni Ziemi. Żadna prawie wysepka nie uszła odtąd oka ludzkiego. Zkąd poszło, że wiadomości owe geograficzne uzupełnione w każdym względzie, i tak w oznaczeniu postaci i położenia ziem, w określeniu granic i przyrodzenia ładu i wód, jako téż w rozpoznaniu historycznych kolei tychże, bądź przez siłę natury, bądź przez zabiegi i wolę narodów. Tak skompletowany materyał dopiero rozjaśnić można było, bo już domysł ustąpił miejsca pewności, a przypadkowość konieczności. Dostrzegł więc rozum i w tym chaotycznym zamęcie ziem rozrzuconych, w pstrem i bezładnem ich rozporządzeniu, w dowolnych nawet lub gwałtownych krokach przez ludzi poczynionych (politycznych), porządek odwieczny wedle myśli i woli Boga, rozmiar wszędzie stosunkowy do zarysu całości, ścisły prawie; dojrzał pewnych relacji koniecznych między częściami a całością, między ziemiami a mieszkańcami ich, między przyrodzeniem tychże ziem, a charakterem i historyczną fizyognomią narodów. A tak zbadana i pojęta Geografia przestała być zbiorem geograficznych Wiadomości i stała się Umiejętnością Ziemi. Nikt jej godności téj nie odmówi, albo nosi w sobie przedmiot dany,

osobny, znamiona właściwe, porządek niedo- wolny, ale z rzeczy wysnuty, i przegląda się w zwierciadle myśli Twórczej.

(Dokończenie będzie w 7tym Numerze.)

K R Y T Y K A.

Michała Wiszniewskiego

Historia Literatury polskiej. T. II. Kraków 1840.

(Ciąg dalszy.)

Na stronie 157. wspomina autor o żywocie Świętej Kunegundy, przypisując go Długoszowi. Żywot ten nie jest bynajmniej Długosza. Długoszowski bowiem nie zaczyna się od wyrazów: *incipit prologus in vitam Felicis Ringe* etc.; ale od dedykacji do Jakóba (z Sienna), biskupa krakowskiego: „Johannes Longini Canonicus Cracoviensis monet, hortatur et impellit Jacobum Episcopum Cracoviensem pro canonisatione sanctae Kunegundis Poloniae Ducissae, cnius genus, virtutes, religionem, gesta et prodigia in hoc describit libello.“ Ale był za czasów Długosza żywot jakiś Ś. Kunegundy. Długosz bowiem mówi w przedmowie: „Cum itaque pridem heroum patriae gesta, vitas et mores relegendo *in vitam gloriosae et beatae foeminae Kunegundae poloniae ducissae etc. incidissem etc.* Dalej powiada, że go ciężko obrazilo, iż żywot świętej Kunegundy Polacy, którym rozliczne dobrodziejstwa czyniła, czyni, i za łaską Boską długo czynić będzie, przez tak wiele lat po śmierci na prędcie tylko i kruciucho opisali (żywot ten musiał się zatem z kilku tylko kart, albo arkuszy składać). On tedy mając już jakikolwiek wątek, rozszerzył rzecz, poprzydawawszy rozmaite rozdziały, np.: jako przodkowie świętej Kunegundy światobliwi byli; jako święta Kunegunda z dzieciństwa w pobożności ćwiczyła się i t. d. i z tego urosł spory poszyt, który Mojecki na polski język przełożył i pod następującym tytułem w roku 1617. drukiem ogłosił: „Żywot ś. Kunegundy, zakonu ś. Klary, Kieźny Polskiej, za powodem W. X. Jana Foxa, Archidiał. krak. etc. Wizytatora tego zakonu, z łacińskiego na polskie przez X. Przelawę Mojeckiego, Dziekana kamienieckiego etc. przetłomaczony. Za dozwoleciem starszych. — W Krakowie u Franciszka Cezary Roku MDCXVII. 4to.“ Wreszcie po rozmaitych bibliotekach i w Bolandystach znalazłoby się z epoki do r. 1400. daleko więcej, niż autor przytoczył, żywotów ś. Polaków, albo takich, którzy w Polsce byli, np. żywot ś. Ottona, biskupa bamberskiego i t. d. Z zagranicznych też pisarzy, których dzieła taki sam związek mają z historią polską, jak dzieło Ditmara

i Kosmasa Pragskiego; opuścił autor kilku, np. Helmolda 1), Annalistę Saxona 2), Angela de Stargard, mnicha reguły ś. Augustyna, który w XIV. wieku napisał: *Apologia pro libertate ecclesiae Caminensis, adversus archiepiscopum gnensensem* i t. d.

W Rozdziale IX. o bibliotekach, szkołach katedralnych, klasztornych i parochialnych (str. 224.), rzecz nie jest dosyć zgłębiona; nie winimy atoli bynajmniej uczonego autora o to, ale tych, co zostając przy źródłach, materiałów potrzebnych dla historyka nie przysposobili. Młynny jednak jest wniosek autora, gdy mówi: „Musiały już być szkoły w Poznaniu przed końcem XI. wieku, kiedy syn wieśniaka Laurenty I., proboszcz poznański Polak, znakomity przymiotami i cnotliwym życiem, lubo w wiejskim stanie urodzony, gdy książę Bolesław, monarcha polski, z kapitułą poznańską koniecznie żądali mieć Polaka, został w r. 1106. biskupem poznańskim i rządził tym kościołem przez lat 20,“ bo naprzód imiona i nazwiska, azatem i okoliczności życia biskupów poznańskich, aż do czasów niemal kronikarza Bogufała są zagadką i niewiedzieć: czy był kiedy jaki Laurenty I. biskupem poznańskim; a potem ten Wawrzyniec mógł się wcale o polskie szkoły nie otrzeć, postany od jakiego dobroczyńcy na naukę do Włoch albo Francyi.

O Rozdziale XI., obejmującym historią architektury, malarstwa, rzeźbiarstwa i muzyki za Piastów, to samo sądzimy, co o rozdziale: o szkołach. Uderza nas także, że autor na stronie 263. zwrócił uwagę swoje na owego Wojskiego, architekta Mieczysława I., jak mi się zdaje, z bardzo mętnego źródła podehwyconego. W tym samym rozdziale mówi autor: „Przypatrując się gotyckim świątyniom w Anglii, Francyi, Niemczech i Polsce od XII. do XV. wieku pobudowanymi i t. d.“ W Anglii, Francyi i Niemczech, zgoda! ale gdzie jest u nas świątynia jaka w XII. albo XIII. wieku zbudowana, nie tknięta w swym pierwiastkowym kształcie? Długosz wprawdzie powiada, że Piotr Dunin i Kazimierz W. wiele świątyń i zamków wystawili; lecz gmachów tych *injuria temporum*, a podobno i z niedbalstwa naszych przodków, ani ślad niepozostał, chyba w kilku cegielkach, albo głazach, użytych przy wielokrotnem ich przebudowaniu, albo odbudowaniu. Metryki wielu naszych gmachach są wprawdzie bardzo stare, ale gmachy same rzadko sięgają XV. wieku. Zwyczajnie tak się dzieje: jeżeli ktoś, np. Piotr Dunin, przed kilku wiekami w miejscu jakim kościół postawił, natenczas, choćby gmach ten

- 1) Chronica Slavorum Helmoldi. Helmold umarł roku 1170. Kronikę jego kontynuował Arnold, opat w Lubee. Obydwa mówią wiele o naszych przodkach.
- 2) Annalista Saxo, jest obfitem źródłem do dziejów polskich; czytaj w T. I. Corpus historicum medii aevi Jana Jerzego Eccarda, od str. 133.

później dziesięć razy był zwalony i znowu odbudowany; ciekawo jego nazywa zawsze założycielem Piotra Dunina. Nam samym zdarzyło się widzieć kościół taki, wystawiony przed 30stą laty od fundamentów obok miejsca, na którym według tradycyi miejscowej miał kiedyś stać kościół wzniesiony przez Piotra Dunina; na zapytanie proboszcza miejscowego: toby kościół nowy postawił? „Piotr Dunin!“ odebraliśmy za odpowiedź. Tak się rzecz ma z starożytnością naszych gmachów i kościołami budowanymi za Piastów, które się do czasów naszych dochować miały (str. 268.). Pilne szperanie w archiwach ich, odmłodziłoby je o kilka przynajmniej wieków.

(Dokończenie będzie w 7. Numerze.)

NOWINY LITERACKIE.

Najnowsze dzieła:

Nowy poszyt znanego miłośnikom sztuk pięknych krajowych, **Ludu polskiego**, w rycinach kolorowych.

Skarbeca Historji Polskiej wyszedł Numer 3ci. W Lipsku u Webera drukuje się przekład niemiecki komedyi Nieboskiej, przez **Baturnickiego**. Nie dawno i **Agajhan** tegoż autora na język niemiecki przetłomaczony, został pochlebnie przez niemieckich krytyków przyjęty.

Waleryan Krasński, autor dzieła o Reformacyi w Polsce w angielskim języku: „Historical Sketch of the Reformation in Poland“ wezwany od uczonych angielskich, pracuje obecnie nad dziełem Historji polskiej, w tym samym języku.

Dzieło o Reformacyi **Waleryana Krasńskiego**, przetłomaczone zostało na język niemiecki przez **Lindau** i drukuje się w Lipsku. — **I. B. Ostrowski**, napisał także Historją Reformacyi w Polsce i szuka na to dzieło nakładcy. — Na dzieło podobnej treści innego autora, umieszczony będzie wkrótce w Orędowniku prospekt. — Pani **Trembiaka** ma wydać wkrótce w Londynie Historją Polską w wieku XVIII.; a pan **S. Gnorowski** już wydał także powieść: **Stanislaus of Cracov**.

Jozef Alfons Potrykowski, dawniej porucznik ułanów, teraz aspirant w korpusie inżynierji francuzkiej, napisał po polsku **Mineralogią** i szuka nakładcy na to dzieło.

Nareszcie wyszły dwa polskie dzieła: **Historja Księstwa Warszawskiego** i książeczka dla dzieci.

W Berlinie wyszło ważne dzieło taktyczne do Historji Wojny z ostatnich czasów: **Theorie des großen Krieges**, angewendet auf den russisch-polnischen Feldzug 1831 durch **W. v. Willisen**. Nadto **Beleuchtung des Werkes von Schmidt über den polnischen Insurrektions-Krieg von U...**

W Warszawie od 1go Stycznia 1841. zaczęnie wychodzić nowe peryodyczne pismo, pod nazwą: **Biblioteka Warszawska**. Pismo miesięczne naukom, sztukom i przemysłowi poświęcone, przez najznakomitszych literatów warszawskich. Redaktorem głównym jest **Antoni Szabrński**. Pismo to zawierać będzie: „Dzieje narodów, szczególnie słowiańskich, Opisy miejsc szczególnych, Rozprawy historyczne, Zyciorysy, Podróże, nowe odkrycia geograficzne, Rozbiory ważniejszych dzieł w tym przedmiocie.

Z literatury pięknej: „Pocmata, Powieści, Obrazy i Krytykę współczesnych i dawnych autorów; Badania nad duchem języka; historyczne i artystyczne wiadomości o malarstwie, rzeźbiarstwie, muzyce i t. d.“

Z filozofii: „Wykład do pojęcia ogółu zastosowany rozmaitych systematów filozoficznych; Rozprawy o biegu i postępie filozofii; Estetykę i t. d.“

Z nauk ścisłych: „Prawoznawstwo, administracya, nauki przyrodzone o tyle, o ile dla ogółu są przystępne.“

Z przemysłu: „Wykład historyczny postępu przemysłowego; teoryi ekonomicznych i finansowych, odkrycia ważniejsze i przedsięwzięcia przemysłowe.“

Kronikę literacką, to jest, o dziełach wychodzących w kraju i za granicą, z treściwem o nich zdaniem.

Rozmaitości: „Obejmować będą zdarzenia i w wiadomości tyczące się sztuk i przemysłu, równie jak i życia społecznego.“

Wychodzić będzie co miesiąc jeden tom, składający się najmniej z 10. arkuszy. — Prenumerata wynosi 60 Złp.

Ponieważ do redakcyi pisma tego należą najznakomitsi naszego wieku pisarze, pewni jesteśmy, że przedsięwzięcie tak chwalebne, szybko rozwinie się i najpiękniejsze! dla literatury i oświaty krajowej wyda owoce. **Szczęście Boże!**

ERRATA.

Strona 38, wiersz 3my w pierwszej kolumnie filozofia, czytaj **filologia**.

Orędownik wychodzi arkusz co tydzień. Prenumeratę kwartalną od 1go Października do 31go Grudnia r. b. to jest na 13 numerów wynoszącą Złotych pol. 4½, przyjmują królewskie pocztanty, księgarnie krajowe i zagraniczne, jako też i drukarnia w Poznaniu na Garbarach No. 45., gdzie się Orędownik wydaje.

Redakcyja Orędownika: **A. Popliński. J. Łukaszewicz.**